

KSIĄDZ STANISŁAW ORZĘCHOWSKI „ORZECH” (1939–2021)

Powiedzieć, że „Orzech” był wielki, to jakby powiedzieć wszystko i nic. Kształtowały go dwie rzeczywistości, o czym często wspominał: Kobylin w Wielkopolsce, skąd pochodził, i rodzina. To w Kobylinie chciał być pochowany, ale gdy został honorowym obywatelem Wrocławia, zmienił testament. Zmarły 19 maja 2021 roku ks. Stanisław Orzechowski był nie tylko obserwatorem historii, ale także jej kreatorem. Pół roku później, w listopadzie, skończyłby 82 lata. Był jednym ze Świadków Historii, a w złożonych niegdyś w Ośrodku „Pamięć i Przyszłość” obszernych relacjach ze swojego życia i działalności poruszył wiele niezwykłych wątków.

„Orzech” wielokrotnie powtarzał, że jego ukochana Wielkopolska była miejscem o nieprzerwanej tradycji. Jego doszukiwanie się historii rodu w księgach metrykalnych sięgało XVI wieku. W Wielkopolsce nie mieszkał jednak długo, bo niespełna 14 lat. Urodził się 7 listopada 1939 roku i jeszcze przed czternastymi urodzinami zna-



Ksiądz Stanisław Orzechowski
w 2015 roku. Fot. Joanna Stoga,
ze zbiorów Biura Rady Miejskiej
Wrocławia

laż się we Wrocławiu w technikum budowlanym. „To przysłowie się potwierdziło: »Czym skorupka za młodu nasiąknie...«. Więc moja skorupka nasiąkła Wielkopolską” – mówił w jednej z relacji złożonych w Ośrodku „Pamięć i Przyszłość”. Dzięki latom spędzonym w Kobylinie nasiąkł tą tradycją na resztę „wrocławskiego życia”. Nie wstydził się nigdy rodzinnej miejscowości i w swoim nauczaniu przemycił zawsze wiele ulubionych wielkopolskich określeń. Do słynnego cytatu z Biblii: „O Jeruzalem, jeśli bym zapomniał o tobie, to niech przyschnie język do podniebienia”, dodał kiedyś swój własny ciąg dalszy:

Boże, ze łzami błagam Ciebie, gdy umrę, daj mi Wielkopolskę w niebie.

To tam, w tej ukochanej Wielkopolsce chciał być pochowany. Gdy jednak Wrocław uhonorował go – najpierw Nagrodą Wrocławia (2005), a potem tytułem Civitate Wratislaviensi Donatus (2015), czyli honorowym obywatelstwem Wrocławia – zmienił zdanie.

Zdaje się, że jednak grób będzie tu [we Wrocławiu], bo jak dostałem od Wrocławia nagrodę, jestem obywatelem honorowym Wrocławia, zająłem podobno trzecie miejsce – jak to się mówi – wśród znaczących osób we Wrocławiu, to spowodowało, że zmieniłem moją decyzję w testamencie, że jednak tu trzeba być pochowanym, skoro jest się obywatelem honorowym Wrocławia i to tak zostało oficjalnie wręczone – tłumaczył swoją decyzję.

Mawiał też, że chce, by jego pogrzeb był radosny. Na cmentarzu św. Wawrzyńca przy ul. Odonu Bujwida, w sąsiedztwie miejsca, w którym posługiwał ponad pół wieku, spoczął w poniedziałek 24 maja 2021 roku, dołączając do grona wybitnych wrocławian tam pochowanych. Pogrzeb, na który przybyły nieprzebrane tłumy, był taki, jakiego pragnął – radosny. Nie zabrakło muzyki i tańców, chociaż smutek i łzy także były obecne.

„Orzech” często powtarzał: „Kochająca się rodzina to fundament wychowania”. Wzrastał wraz z trzema braćmi, mamą Stanisławą i ojcem Franciszkiem w domu pełnym miłości. Był czas okupacji i, jak wspominał, łatwo było wtedy o nienawiść.

Obrazy z dzieciństwa, jakie miał w pamięci, były okrutne. Bitą przez Niemców mama i cudowne ocalenie życia za bójkę z synem lokalnego niemieckiego dygnitarza, który spalił mu klatkę z ukochanymi królikami. Szczucie przez niemieckich żołnierzy psów na powracające z ciężkiej pracy polskie kobiety. Może to właśnie te obrazy sprawiły, że „Orzech” chciał umieć się bronić i w młodości uprawiał boks. Z drugiej strony we wspomnieniach przywołuje opis Niemki, która tuż przed wkroczeniem Rosjan do wsi podarowała jego mamie kozę, prosząc, by ją wzięła, bo jej mleko uratuje ich od głodu. „I moja mama wzięła, i koza nas uratowała prawie od śmierci głodowej” – wspominał, dodając, że Niemka zginęła potem tylko dlatego, że odezwała się do rosyjskiego żołnierza po niemiecku.

Jak mówił „Orzech”, to właśnie te obrazy z czasów wojny wielokrotnie pozwalały mu zrozumieć fenomen chrześcijańskiej miłości i postawę swojego duchowego nauczyciela – kardynała Bolesława Kominka, z rąk którego 28 czerwca 1964 roku przyjął święcenia kapłańskie. Jak to się stało, że „Orzech” wybrał drogę kapłańską i trafił do wrocławskiego seminarium?

Nie ma przypadków w życiu. Wszystko ma swoją logikę przyczynowo-skutkową. [...] No więc jeśli nie ma przypadków, to trochę się musiał ze mną droczyć Pan Jezus, bo to się stało dosyć dramatycznie. Ja myślałem, że jakieś mam zwidy czy coś, mrzonki. Ale to docierało do mnie coraz mocniej. No i wreszcie poszedłem do proboszcza, którego zdziwiłem bardzo, że chcę iść do seminarium, bo byłem po technikum budowlanym. Jestem właściwie hydraulikiem. On jednak pojechał do Poznania, bo to była moja diecezja. Ale Poznań miał tylu kandydatów, że rektor wtedy powiedział tak: „Mam tyle kandydatów po liceum, którzy mają już za sobą nauczanie łaciny, że dla niego jednego będziemy robić teraz jakiś specjalny kurs łaciny?”. No i tak proboszcz przyjechał z kwitkiem. Mówi: „Twoje technikum jakoś tak rektora nie przekonało”. Ja pomyślałem, że to dobrze, co się będę martwił. Ale proboszcz nie dał za wygraną. Zadzwoił do Wrocławia i jak poszedłem do kościoła, to on mi za tydzień powiedział: „Być może, że Wrocław jest otwarty”. Wrocław już znałem, przyjechałem i zostałem przyjęty – wspominał „Orzech”, dodając, że cieszył się z takiego obrotu spraw, bo we Wrocławiu czuł się dobrze.

Bez wątplenia kapłani, których „Orzech” spotkał na swojej drodze, wywarli na niego ogromny wpływ. W 2008 roku mówił:

Miałem bardzo dobrych mistrzów. Poczynając od najwyższego w hierarchii stanowiska, pierwszy to był kard. Bolesław Kominek. Wielka głowa, wielkie serce, architekt owego listu, dzięki któremu się otwarło porozumienie z Niemcami, co wtedy rzeczywiście narobiło hałasu. Ale to był tego formatu człowiek. Ja myślę, że duże jego piętno jest na moim życiu. To niewątpliwie.

Oprócz niego wpływ na „Orzecha” mieli także inni duchowni, jak choćby ks. Andrzej Wronka, biskup pomocniczy wrocławski w latach 1957–1974.

Orientalista, świetny liturgista, który miał taką szerokość spojrzenia. Nie wychował mnie na terrorystę liturgicznego, ale zaszczerpił we mnie rozumienie liturgii – to ważne – wspominał „Orzech” biskupa Wronkę.

Ciepło wypowiadał się też m.in. o biskupie Pawle Latusku, który w czasach rozpoczętych jesienią 1958 roku studiów „Orzecha” był rektorem Wyższego Seminarium Duchownego we Wrocławiu:

Rektora mieliśmy [...] z cholerycznym temperamentem, więc było ciekawie, ale też to był nieprzeciętny człowiek, jeżeli chodzi o miłość do Kościoła. Dosyć długo siedział w więzieniu za tę wierność Kościołowi. Też jego piętno jest w moim życiu. [...] Miałem bardzo dobrych spowiedników. Mogłem sobie wybrać bardzo mądrych spowiedników i być może dzięki temu uratowali mnie przy różnych wątpliwościach. Bo były takie chwile, że ja już nie wiedziałem, co począć ze sobą i wtedy złożyłem decyzje na spowiedników.

Czas studiów we wrocławskim seminarium nie był łatwy. Pół wieku po rozpoczęciu studiów wspominał:

Moje studia przypadły w okresie, kiedy się Sobór [Watykański II] jeszcze nie skończył, czyli nie było oficjalnej nauki Kościoła, która się na soborze konsolidowała, więc miałem takie nieszczęście słuchać od niektórych profesorów: „Teraz musimy wyklądać tak, jak było, ale po soborze to się zmieni”. No więc to utrudniało bardzo uczenie się. Uratowało mnie, pomogło mi wyjść z tego zaułka to, że poszedłem na studia na KUL. I tam już docierała nauka Soboru Watykańskiego II. I tam wtedy mogłem się spotkać z tymi decyzjami. Czyli wracając już wtedy ze studiów z Lublina, miałem już takie rozeznanie w tych głównych nurtach soborowych. To było bardzo mi potrzebne, żeby przede wszystkim poznać ducha soboru, no bo trudno wszystko znać na pamięć.

Legendarny wrocławski duszpasterz akademicki mówił wielokrotnie, że w życiu trzeba rozumieć radykalizm św. Pawła i umieć wybaczać. Chodzi o to, by Ewangelię wykonywać, a nie tylko znać ją w teorii. „Nie liczymy, co my jesteśmy winni, co wy – przepraszamy. I prosimy o wybaczenie” – mawiał. Żartem opowiadał, że kiedyś w młodości dostał od brata szczeniaka – owczarka niemieckiego. Mały psiak przywołał okupacyjny obraz agresji i przypomniał „Orzechowi” o urazie wobec Niemców. Doskonale pamiętał piekło wojny. Pamiętał, jak Niemcy bili jego matkę, bo nie powiedziała „Heil Hitler”. Początkowo miał taką myśl, by tego podarowanego mu psa zabić. Zabić z nienawiści i niejako w odwecie za wszystkie krzywdy i rany wojenne. Potem jednak pomyślał: „Nie, wychowam Cię tak, że będziesz się śmiać z radości na widok każdego człowieka”. I to mu się udało.

Po latach ta nauka pozwoliła „Orzechowi” inaczej spojrzeć na polsko-niemieckie relacje. Zapytany niegdyś o osobisty stosunek do słynnego orędzia biskupów polskich do biskupów niemieckich powiedział:

Ten list pomógł mi sięgnąć po moje chrześcijaństwo. Bo wtedy sobie powiedziałem: no dobrze, cóż z tego, że jesteś chrześcijaninem, jak będziesz całe życie nosił nienawiść do Niemców. I wtedy dopiero zrozumiałem, że tego Ewangelia ode mnie żąda. Chrystus ode mnie żąda tego, bo to Orędzie zostało na Ewangelii oparte.

Zrozumienie tego i przyswojenie tej nauki było zdaniem „Orzecha” początkiem jego leczenia się z powojennej traumy, niechęci do Niemców i wszystkiego, co niemieckie.

Groźny nie był tylko mur berliński, ale mury, które były w nas, mury, które były w środku – ja taki mur miałem. I on dopiero chyba teraz został przewrócony do końca – mówił.

Gdy zrozumiał przestanie płynące z głębokiej myśli kardynała Bolesława Kominka, łatwiej przyszło mu pojednanie się z braćmi zza zachodniej granicy.

W Niemczech był kilkakrotnie, choć tak naprawdę nie lubił wyjazdów zagranicznych bez względu na to, gdzie miał jechać. Uważał, że może to być efekt jego uczuć patriotycznych wyniesionych z rodzinnego domu.

Jest u mnie rysa taka bardzo zasadnicza w osobowości – patriotyczna. Ona ulega zmianie, ale nigdy nie było cofania się z tego wątku. Do żywego mnie obchodzi to, co się dzieje z Polską, Polakami i tego się już nie pozbędę, nie. Ostatnio zaczynają mnie troszeczkę irytować Polacy, ale nie dlatego, że ich nie znoszę, ale dlatego, że widzę, że się źle dzieje. Nie wiem, kto mnie tego nauczył, bo to są pewne uczucia patriotyczne. Uczucia są uczuciami wyższymi. Z nimi się człowiek nie rodzi. Ja myślę, że to była taka dyskretna sprawa matki, która dbała o to, żeby sztandar wywiesić na 3 maja, uczyła nas różnych tych piosenek: „Ta szara piechota”, czy „Oto dziś dzień krwi i chwały”. To się okazało, że tego się nauczyłem w dzieciństwie. Ale za to bardzo się wzruszam, kiedy słyszę hymn narodowy. Te trąbki, kiedy jest to dobre nagranie... Wtedy wyrastają skrzydła. Ale tak się odzywa we mnie to uczucie. Czy ja mam postawę patriotyczną, to inna rzecz. Ale że towarzyszą mi w życiu uczucia patriotyczne, to na pewno. Stąd za granicą długo nie wytrzymuję. Najwyżej dwa tygodnie, miesiąc, potem już nie mogę znieść. No, to jest też coś mojego.

Miłość bliźniego i przygotowanie do bycia w rodzinie były duszpasterskim powołaniem „Orzecha”. W czasie studiów na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, gdzie w 1972 roku uzyskał licencjat z teologii, był uczniem Karola Wojtyły. Kilkanaście lat temu mówił:

Postać, która rzeźbiła mnie – Wojtyła jeszcze zanim został papieżem, ponieważ Wojtyła również miał dosyć duże skłonności, jeszcze jako młody biskup, do zainteresowań rodzinną. Jego etyka zahaczała bardzo mocno o rodzinne sprawy i tutaj miałem okazję często się z nim spotykać. Spotkałem się bardzo wyraźnie na KUL-u, kiedy chodziłem na wykłady, żeby go podsłuchać. Do dzisiaj pamiętam kluczowe wykłady, które są w mojej świadomości, które znam na pamięć. To potem bardzo było ważne, że jestem człowiekiem Jana Pawła II w tym znaczeniu, że to też nie przypadkiem, że zasadniczo cała moja praca duszpasterska była pod jego łaską pasterską. Olbrzymi wpływ miały wszystkie jego podróże do Polski. Tak, to jest rzeczywiście niezwykła siła oddziaływania na moje życie.

Ksiądz Stanisław Orzechowski całe swoje życie poświęcił młodzieży, ludziom pracy, a także potrzebującym rodzinom. Tą miłością potrafił się dzielić. Kiedyś poproszono go o radę w decyzji o adopcji dziecka. Dylematem małżonków była obawa, że można nie podołać takiemu zadaniu. „Orzech”, wspierając tę decyzję, powiedział: „Nie bójcie się. Jak długo będę żył, zawsze Wam pomogę”. I pomagał. Nie tylko tej jednej rodzinie, ale wielu innym. Pomagał każdemu, kto zwrócił się do niego o pomoc.

Tuż po studiach we wrocławskim seminarium i przyjęciu święceń kapłańskich nadszedł dla „Orzecha” czas na pierwszą placówkę. Na początku drogi kapłańskiej była nią górnicza Nowa Ruda, gdzie w latach 1964–1967 był wikariuszem w parafii pw. św. Barbary. Duszpasterski tygiel postaw, osobowości i kultur – wygnani z Kresów Polacy, niemieccy autochtoni i komunizujący repatrianci z Francji. Po latach „Orzech” wspominał, że lubił uczyć religii noworudzkich maturzystów, bo byli prawie jego rówieśnikami, trudniej szła mu natomiast praca wśród górników. Miał obraz górniczego stanu przywiązanego do tradycji i wiary, a w zagłębiu noworudzkim dominowali polscy komuniści z Francji, którzy wracali do ojczyzny z myślą o ustrojowym robotniczym raju. Czekają tutaj na nich ustrojowe i egzystencjalne rozczarowanie.

Z tego okresu pracy kapłańskiej „Orzech” zapamiętał szczególnie mocno jeden wątek: że wobec częstych górniczych katastrof i metanowego zagrożenia wybuchem, ci, którzy zjeżdżali na dół kopalni, przechodzili szybki kurs wiary. Swoją pierwszą parafię tak wspominał:

Te ciężkie warunki zbliżały ich do Pana Boga, zbliżały do Kościoła. Oni wiedzieli, a poza tym ja – tak wychowany, jak mówiłem – byłem po ich stronie. I oni to wiedzieli. Nawet takie rzeczy robiłem, że na kolędzie się z każdym siłowałem na rękę – to pamiętam, że mnie tylko jeden położył. Tak, to była ważna moja pierwsza parafia. Tam naprawdę się napracowałem, bo proboszcz był chory, już taki starszy... Już dzisiaj nie do wiary. Byłem silny wtedy, młody. Miałem 45 godzin tygodniowo lekcji religii i plus jeszcze inne: pogrzeby, śluby, msze, spowiedź...

Początek drogi kapłańskiej „Orzecha” zbiegł się z początkiem reformy posoborowej. Po Nowej Rudzie i następnie po studiach na KUL nadszedł czas pracy w charakterze wykładowcy. Klerykom Metropolitalnego Wyższego Seminarium Duchownego we Wrocławiu posługiwał przez wiele lat nie tylko jako nauczyciel, ale także jako spowiednik. Spowiadał nie tylko ich, ale także niezliczonych penitentów. Niejednokrotnie spowiadał cały dzień, a nawet w nocy, czasami aż do skrajnego wyczerpania.

To był też początek jego pracy z młodzieżą akademicką w charakterze wikarego w parafii pw. św. Wawrzyńca we Wrocławiu przy ul. Odonu Bujwida, do której trafił w 1967 roku. Szybko stał się twarzą i dobrym duchem Duszpasterstwa Akademickiego „Wawrzyny” – był ojcem „Wawrzynów”. O tym, co stworzył, posługując przez pół wieku jako duszpasterz akademicki, najlepiej mówią liczne świadectwa tych, którzy mieli z nim kontakt. Swoją troską i opieką otaczał jednak nie tylko młodzież akademicką, ale także na przykład hippisów prześladowanych w latach 70. XX wieku. Ta otwartość w pracy z młodymi ludźmi, a szczególnie legendarne nauki przedmażeńskie zwane „kursami antymażeńskimi” uczyniły z ks. Stanisława Orzechowskiego osobę niezwykle popularną i to nie tylko we Wrocławiu.

„Orzech” znany był nie tylko we Wrocławiu, ale i daleko poza nim. Był rozchwytywanym kaznodzieją. Jak mówił ks. Aleksander Radecki, o niemal nieustającym i niezwykle głębokim kaznodziejstwie tego „duszochwata” najlepiej świadczyło jego zdarte gardło. W niektórych kręgach „Orzech” uchodził nawet za świętego już za życia. Krzysztof Turkowski, który wraz z „Orzechem” w 1991 roku pielgrzymował do Ostrej Bramy w Wilnie, wspominał, że bywały na trasie miejsca, gdy ludzie przynosili do ks. Orzechowskiego obłożnie chorych. Wierzyli, że gdy „Orzech” położy na nich swoją dłoń, doświadczą czegoś niezwykłego, może nawet uzdrowienia.

Ta szczególna popularność w kręgach młodych działaczy opozycji antykomunistycznej była kolejnym „nieprzypadkiem” w życiu „Orzecha”. Kiedy podczas wielkiego sierpniowego strajku w 1980 roku, który trwał w zajezdni autobusowej nr VII przy ul. Grabiszyńskiej, wśród strajkujących pojawiła się potrzeba modlitwy, spowiedzi i eucharystii, dwóch młodych działaczy studenckiej opozycji – Maciej Zięba i Krzysztof Turkowski – zaproponowało, aby z prośbą o odprawienie mszy świętej dla strajkujących robotników zwrócić się właśnie do księdza Stanisława Orzechowskiego. „Orzech” był już wtedy znany w kręgach wrocławskiego Klubu Inteligencji Katolickiej i pomagał m.in. Rafałowi Dutkiewiczowi w przygotowaniach Tygodni Kultury Chrześcijańskiej. „Wiedziałem, że Stanisław jest księdzem pobożnym, gorliwym, takim z duszą duszpasterską po prostu, więc go zapytałem” – wspominał po latach o Macieju Ziębie OP, dominikanin, który wtedy został wydelegowany, by przywieźć „Orzecha” do strajkowego epicentrum, czyli do zajezdni przy ul. Grabiszyńskiej. „Orzecha” taka propozycja zaskoczyła. Po latach mówił:

Zaczął się od zaproszenia na mszę świętą przy zajezdni autobusowej na Grabiszyńskiej. Tam bowiem był strajk, tam była siedziba koordynująca wszystkie strajki we Wrocławiu. Byłem bardzo zaskoczony, po prostu nie wiedziałem, co zrobić. Odprawić mszę świętą, ale czy tylko? I właśnie z tą sprawą poszedłem do kurii. Wtedy nie zastałem księdza arcybiskupa. Jeden z biskupów powiedział mi, żeby raczej nie było takiego bezpośredniego słowa homilii, żeby raczej przeczytać ostatni list biskupów, który nawiązywał do ostatnich wydarzeń w Polsce.

„Orzech” uznał, że list episkopatu Polski wyjaśniający strajkującym manipulację komunistycznej propagandy wobec kazania prymasa Stefana Wyszyńskiego na Jasnej Górze to jednak zbyt mało i postanowił wygłosić własne słowa otuchy do strajkujących robotników. Po latach tak to wspominał:

Przeczytałem ten list, ale po twarzach ludzi widać było, że to nie o to im chodzi, że potrzebują słów, które by inspirowały, wyzwoliły coś. Ludzie byli bardzo wewnętrznie napięci. Była w nich jakaś siła, jakaś emanacja, jakieś przeżycie. To nie były puste manekiny. I dlatego też przy końcu mszy świętej, przed rozesłaniem, postawiłem pytanie: „Po co tu przyszliśmy? Jeżeli przyszliśmy po to, żeby było więcej kielbasy i tańszy chleb, to mnie tu by nie było. Ale jestem tu dlatego, iż wiem, że nie tylko po to tu przyszliśmy”. I wiedziałem, że rzeczywiście w tym momencie przekonuję wielu ludzi, że właściwie przyszliśmy tu dlatego, żeby przeżyć to, co się tu narodziło, co się objawiło. Czyli solidarność Polaków, która się kłula wtedy, solidarność narodu.

Ołtarz przed budynkiem zajezdni, zakrystia i konfesjonały w autobusach, na ulicy Grabiszyńskiej i na całym terenie wokół zajezdni – nieprzebrany tłum ludzi. Tak było w czasie tych słynnych dwóch mszy, które odprawił „Orzech”: w piątek 29 sierpnia oraz w niedzielę 31 sierpnia 1980 roku. Zarówno dla strajkujących, jak i dla wrocławian było to ważne wydarzenie. Budziło poczucie siły, jedności oraz wspólnoty, czyli solidarności. Te eucharystie, szczególnie ta niedzielna, stały się jednym z symboli wrocławskiego strajku. „Myśmy poczuli się wrocławianami wtedy, w czasie tej mszy Orzecha” – wspominał Krzysztof Turkowski i inni uczestnicy tego niezwykłego historycznego wydarzenia. Dla samego „Orzecha” sprawowane wówczas dla tłumu liturgie stały się początkiem wieloletniego zaangażowania w duszpasterstwo ludzi pracy.

W sierpniu 1980 roku były msze na terenie zajezdni autobusowej, a kilka miesięcy później, w październiku, na terenie Lokomotywni PKP Wrocław Główny. „Orzech”, syn kolejarza, poparł wówczas ogólnopolski strajk głodowy kolejarzy. Był kapłanem, obserwatorem, doradcą i jednym z nich, bo głodował razem z nimi. Duszpasterzem wrocławskich kolejarzy był przez blisko 20 lat.

Początek lat 80. XX wieku to czas, gdy „Orzech” zaczął jeszcze aktywniej wspierać działania opozycyjne i roztaczać duchową opiekę nad działaczami nowo powstałej „Solidarności”. We wrześniu 1980 roku został kapłanem wrocławskiej „Solidarności”. Z tym wsparciem i różnorodnymi jego formami wiąże się wiele wspomnień. O jednym właściwie nieznanym dotąd wydarzeniu z udziałem „Orzecha” opowiedział niegdyś Władysław Frasyniuk: tuż przed wprowadzeniem stanu wojennego z radzieckiej jednostki wojskowej w Legnicy uciekł żołnierz. Schronił się w siedzibie „Solidarności”. Oprócz Władysława Frasyniuka wiedziało o tym zaledwie kilka osób, gdyż sytuacja ta stanowiła wielkie ryzyko zarówno dla ukrywającego się żołnierza, jak i dla tych, którzy go ukrywali. Jedną z wtajemniczonych osób był „Orzech”, który zobowiązał się do ukrycia uciekiniera i pomocy związkowcom w przerzuceniu go przez Gdańsk na Zachód. Dlatego też „Orzech” poznał wszystkie związkowe punkty kontaktowe. Wkrótce wybuchł jednak stan wojen-

ny. Władysław Frasyniuk ukrywał się, a większość działaczy została internowana. Mimo to „Orzech” podjął się zaplanowanej wcześniej operacji i sam „dostarczył” żołnierza do Gdańska na statek. Kilka tygodni później „Głos Ameryki” podał, że uciekinier dotarł szczęśliwie na Zachód.

„Orzech” miał przydomek „wieczny wikary”. Władze komunistyczne nie chciały wyrazić zgody na to, by pełnił funkcję proboszcza, w parafii pw. św. Wawrzyńca przy ul. Odon Bujwida następowały więc zmiany na tym stanowisku, a on jako wikary trwał. „To rzeczywiście jest dosyć dziwne, bo proboszczowie się zmieniali, a ja się nie zmieniałem. Wikary zostawał, proboszcz odchodził – to jest humorystyczne nawet” – wspominał z uśmiechem po latach. Mimo to robotnicy śmiali się, że „Orzech” był osobistym proboszczem Władysława Frasyniuka, który w latach 80. XX wieku mieszkał przy ul. Henryka Sienkiewicza, a zatem należał do parafii pw. św. Wawrzyńca.

Być może właśnie dlatego, że nie wypełniał obowiązków proboszcza, miał więcej czasu na inną posługę. Przez wiele lat pracy duszpasterskiej posługiwał nie tylko studentom, robotnikom i kolejarzom, ale także np. Rodzinom Katyńskim. Był kapłanem ludzi ubogich i potrzebujących. Zawsze kierował się sercem i z pewnością dlatego tyle osób do niego Igneło. Swoje duszpasterzowanie rozpoczął m.in. od mszy świętych sprawowanych z myślą o najmłodszych. Prostotą mówienia o Bogu językiem dzieci zachęcał rodziców do bycia w Kościele.

Z inicjatywy „Orzecha” w czasie stanu wojennego we wszystkie czwartki odbywały się słynne „Dwudziestki”, czyli msze święte odprawiane w intencji Ojczyzny w kościele przy ul. Odon Bujwida o godz. 20.00. Tam także, w siedzibie Duszpasterstwa Akademickiego „Wawrzyny”, „Orzech” stworzył warunki sprzyjające działalności opozycyjnej. To tam młodzież mogła słuchać wykładów z historii Polski i spotykać się nie tylko z opozycjonistami, ale także z ludźmi ze świata nauki i kultury. Tam oglądano filmy zatrzymane przez cenzurę i tam czytano wydawnictwa podziemne. Tam w stanie wojennym Zarząd Regionu NSZZ „Solidarność” Dolny Śląsk ukrywał nie tylko swoich ludzi, ale także druki i sprzęty poligraficzne. Tam działał nieformalny punkt pomocy internowanym – „Orzech” osobiście zbierał informacje na ich temat i pomagał im oraz ich rodzinom, jak tylko mógł.

W czasie swojej 57-letniej posługi kapłańskiej „Orzech” wygłosił tysiące rekolekcji, konferencji i homilii. Wszystkie z niesamowitym i tak charakterystycznym dla siebie zaangażowaniem i poczuciem humoru. Oprócz tego spowiadał, udzielał pierwszej komunii świętej i sakramentu chorych, błogosławił małżeństwa, chrzcili dzieci, chował zmarłych przyjaciół i nie tylko... Słuchał, doradzał, pomagał. Wiele osób przy nim odkryło swoje prawdziwe powołanie. Zawsze chciał przy tym pozostawać w cieniu, bo uważał, że to Bóg powinien być na pierwszym miejscu. Nie lubił, by dużo o nim mówiono lub pisano. Teraz, gdy już nie żyje, nie można nie napisać...

Nie da się zaprzeczyć temu, że „Orzech” był duży. I to nie tylko dlatego, że tuż po urodzeniu ważył podobno 6,5 kg, przez co przez całe życie do szczupłych raczej nie należał. Bez wątplenia „Orzech” był jednak nie tylko duży, ale i wielki. Wielki jako człowiek, jako duszpasterz, jako kapłan i jako wrocławianin. Za swoją długoletnią posługę oraz „trud i osobiste zaangażowanie w ważne dla mieszkańców Wrocławia inicjatywy charytatywne oraz opiekę, jaką obejmował działaczy dolnośląskiej »Solidarności« walczących z totalitaryzmem o prawo do wolności” w 2005 roku uhonorowany został Nagrodą Wrocławia. W podziękę za „kształtowanie młodych charakterów i uczenie życia” w 2015 roku otrzymał tytuł Civitate Wratislaviensi Donatus, czyli honorowe obywatelstwo Wrocławia, zaś w 2018 roku został honorowym obywatelem Dolnego Śląska.

Osobny rozdział w życiu ks. Stanisława Orzechowskiego stanowią pielgrzymki, szczególnie te sierpniowe na Jasną Górę organizowane od 1981 roku oraz te jednodniowe, październikowe do Sanktuarium św. Jadwigi Śląskiej w Trzebnicy, które zaini-

cjował nieco wcześniej, bo już w 1979 roku. Był ich głównym przewodnikiem aż do teraz, do śmierci, czyli przez ponad 40 lat.

Anons o pielgrzymce przyszedł do mnie przez studentów [...]. Wyciągnęli mnie więc na warszawską [...]. Jako ksiądz nic tam szczególnego nie robiłem. Spowiadałem, owszem, ale głównie się przypatrywałem [...]. To była moja pierwsza pielgrzymka. Miało to miejsce pięć lat przed pierwszą wrocławską – wspominał po latach.

Rzeczywiście, zanim w 1981 roku na Jasną Górę dotarła I Piesza Pielgrzymka Wrocławska, mieszkańcy Wrocławia i Dolnego Śląska pielgrzymowali m.in. z pielgrzymką warszawską. Ze względu na dużą liczbę jej uczestników, sięgającą kilkudziesięciu tysięcy osób, pod koniec lat 70. XX wieku prymas Stefan Wyszyński zgodził się na jej decentralizację. To wtedy kielkujący od dawna pomysł zorganizowania pielgrzymki wrocławskiej urzeczywistnił się.

Decyzją ówczesnego metropolity wrocławskiego, arcybiskupa Henryka Gulbinowicza, to właśnie „Orzechowi” oraz księdzu Andrzejowi Działakowi przypadło w udziale zorganizowanie pielgrzymki wrocławskiej. Przygotowania do niej rozpoczęły się jesienią 1980 roku. Sztaby pielgrzymkowe mieściły się w siedzibie Duszpasterstwa Akademickiego „Wawrzyny” przy ul. Bujwida 51 oraz w siedzibie Centralnego Ośrodka Duszpasterstw Akademickich (CODA) przy ul. Katedralnej 4. Tam gromadzono potrzebny sprzęt, tam przygotowywano wszystkie niezbędne informacje, które były rozprawdane po parafiach całej archidiecezji, tam też – szczególnie wokół „Orzecha” – gromadzili się chętni do pomocy. Wzorem organizacyjnym była pielgrzymka warszawska, jednak z czasem Wrocław dopracował się własnych metod organizacyjnych, a przede wszystkim własnego stylu, który do dziś zawdzięcza nikomu innemu, jak właśnie „Orzechowi”.

Początkowo okoliczności nie były sprzyjające, ale – jak wspominał „Orzech” – w 1980 i 1981 roku z łatwością dało się przez nie przebrnąć dzięki wsparciu nowo powstałej „Solidarności”. Mimo tego na barkach niewielu osób spoczywał cały trud organizacyjny – od załatwienia wszelkich formalności, po wyznaczenie trasy, miejsc odpoczynków i noclegów, zapewnienie potrzebnego sprzętu, wyżywienia, opieki medycznej itd. Chętnych do kilkudniowego wędrowania w sierpniowym upale u boku „Orzecha” nigdy nie brakowało. Zapraszając na pielgrzymkę w 2005 roku mówił tak:

Aby pójść na pieszą pielgrzymkę, trzeba pokonać pokusę: »Nie dam rady«. Dasz radę! Dasz radę, jeśli się do tego odpowiednio przygotujesz. Najpierw wyszukaj dobre, rozchodzone buty i plecak na niezbędny ekwipunek. Nie zapomnij też o dobrym humorze – wtedy na pielgrzymce rozwiążesz zagadkę: „To samo na tej samej wadze raz waży więcej, a raz mniej”.

Zaproszenie „Orzecha”, choć w różnych latach wyrażane różnymi słowami, nigdy nie pozostało bez echa. W ślad za nim na pielgrzymi szlak na Jasną Górę wyruszyły dziesiątki tysięcy wrocławian i Dolnoślązaków. W minionych 40 latach pielgrzymowało w sumie około 277 tys. osób, z czego ok. 90 tys. przed transformacją ustrojową. Wielką w tym zasługą samego „Orzecha”, który do pielgrzymowania zawsze potrafił zachęcić wiele osób, także tych małej wiary lub nawet niewierzących. Leszek Budrewicz przyznał niegdyś, że „Orzech” doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że i on, i niektóre inne osoby z grona działaczy opozycji, nie są „kościelnymi”, jednak mimo to zapraszał ich na pielgrzymki w charakterze prelegentów, a oni nigdy nie odmówili. „Orzech” wiedział, że tak trzeba, że taki jest czas i różne świadectwa są potrzebne. Wiedział też, że pielgrzymka to niejednokrotnie przejście z niewiary do wiary. Wie-

lu tego właśnie doświadczyło w drodze na Jasną Górę. Leszek Budrewicz mówił, że pielgrzymka może być przykładem termosu: „Wszyscy tam się pompowali dobrem i wychodzili napompowani”. „Orzech” doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

W 2020 roku minęło 40 lat od czasu, gdy ks. Stanisław Orzechowski jako główny przewodnik Pieszej Pielgrzymki Wrocławskiej wraz z sześcioma tysiącami pielgrzymów wyruszył sprzed wrocławskiej katedry w drogę na Jasną Górę. Z okazji tego jubileuszu organizatorzy Pieszej Pielgrzymki Wrocławskiej wraz z Ośrodkiem „Pamięć i Przyszłość” (Centrum Historii Zajezdnia) w maju 2021 roku przygotowali wystawę plenerową poświęconą dziejom wrocławskich wędrówek na Jasną Górę. Gdy na początku maja prace nad wystawą dobiegały końca, „Orzech” był już w ciężkim stanie i przebywał w szpitalu. Wiedział jednak, że powstaje wystawa i dlatego do jej odbiorców skierował swoje przesłanie:

Czy uda się kogokolwiek przekonać do wyruszenia na pielgrzymkę, jeśli nie ma żadnego doświadczenia w tej dziedzinie? Jakich argumentów użyć: filmów, zdjęć, opowieści wytrawnych uczestników pieszych wędrówek do Królowej i Matki? A może tej właśnie okolicznościowej wystawy? Próbować warto, choć z góry trzeba uznać, że pielgrzymowanie jest ostatecznie tajemnicą, dokonującą się „w środku”, w sercu człowieka. A tajemnice pociągają ludzi od zawsze... Ojciec Jan Góra OP napisał, że człowiek ma do wykonania na ziemi dwa zadania, zanim umrze: zbudować dom i wyruszyć w drogę. Dom, mieszkanie – już masz. Zatem czeka to drugie wyzwanie: zostań pielgrzymem! Serdecznie zapraszam! Orzech.

Czy to przesłanie, będące zaproszeniem do udziału w 41. Pieszej Pielgrzymce Wrocławskiej, było ostatnim skierowanym do szerokiego grona odbiorców przed śmiercią tego wielkiego kapłana, który zmarł tuż przed godziną 13.00 w środę 19 maja 2021 roku? Najprawdopodobniej tak.

Wrocławskie pielgrzymki z pewnością były i są wielkim dziełem „Orzecha”, którym poświęcił cztery dekady życia, czyli prawie połowę. W drogę wyruszał wiele razy. Teraz jego ziemskie pielgrzymowanie dobiegło końca i jest zapewne tam, dokąd zmierzał całe życie.

Jakże symboliczny stał się fakt, że wystawa plenerowa o dziele życia „Orzecha” – „HOMO VIATOR, czyli wyrusz w drogę! Czterdzieści lat Pieszej Pielgrzymki Wrocławskiej na Jasną Górę” – została otwarta dzień przed jego śmiercią. Będzie go bardzo brakowało, jednak z pewnością nie chciałby, byśmy się smucili. Czerpmy zatem pełnymi garściami z jego doświadczeń, jego nauki i tego, co nam zostawił.

